PLACÓWKA

ILUSTRACJA POLSKA

DWUTYGODNIK

ZESZYT XXI. LISTOPAD 1920 r.

Cena zeszytu Mk. 20.

ROK IX. WARSZAWA, DNIA 30 LISTOPADA 1920 ROKU. ZESZYT XXI.

PLACÓWKA

Ilustracja Polska

DWUTYGODNIK

Ignacy Grabowski.

ŚLĄZACY.

Za dwa miesiące ma się odbyć głosowanie na Śląsku Górnym, rozstrzygające. prastara dzielnica piastowska ma być w związku państwowym z Niemcami czy z Polską. Myślę, mam nietylko przekonanie, ale zupełną pewność, że wynik taki lub inny tej sprawy rozstrzygnie o całym losie Polski na przyszłe pokolenia. Czy naród polski będzie miał warunki do samodzielnego rozwoju, to jest rację bytu, jako indywidualność twórcza śród narodów świata, czy istnienie nasze będzie efemerydą, wyłonioną przez burzliwe fale wielkiej wojny na przelotne mgnienie?

Na nic nie przydadzą się poloty najbujniejszej wyobraźni w kierunku upragnień gorących wolnego, szczęśliwego bytu, na nic teorje demokratyczne, na nic przechwałki o potędze, świadczenia się męczeństwem, cierpieniem i wołaniem o sprawiedliwość dziejową, na nic upojenia mistycznem pielgrzymstwem, tak łatwo zastępującem pragmatyzm życiowy. Ciężkie koła wozu historycznego o obręczach żelaznych przejadą po nas, jak po tłumie jęczących niewolników, miażdżąc, jeżeli czyn polski zadania nie spełni teraz i tak być musi, bez Śląska niema Polski w warunkach spółczesnych.

Bo jakgdyby fatum polityki europejskiej, lub jeśli kto chce, punkt wyjścia do najważniejszych zmian i burz, zamieszkało na Śląsku. Z chwilą, gdy Fryderyk II przemocą wydarł Austrji Śląsk, Austrja była porażona śmiertelnie, a dalszy jej zwrot dziejowy był powolnem konaniem i nieszczęściem dla ludów, których miała być polityczną opiekunką. Chudy brandenburski Krzyżak stłuściał na Śląsku i wziął pęd, jakiego wyniki Wielkiej wojny wcale nie zatamowały. Głupi kto wierzy w niemoc Niemiec, to chwilowe ogłuszenie. Fryderycjańskie kopalnie srebra (dzisiejsza Friedrichs-Hütte pod Bytomiem), ołów, cynk, węgiel, siarka śląskie szły dla rekrutów brandenburskich, pomiędzy którymi było wielu naszych Bartków zwycięzców, ba aż do najnowszych czasów. Jako pan Śląska, jastrząb czychający na kurnik polski, Fryderyk z cynicznym sarkazmem rzucił dla potomności te pamiętne słowa: „Polacy lekkomyślni w szczęściu, nikczemni wobec nieszczęścia, do wolności niezdatni". I trzeba zazaznaczyć prawdzie gwoli, że te słowa djabelskie nie pozostały bez echa u naszych współczesnych. W powieści Żeromskiego, który posiada wrażliwość niesłychaną i jest mocnym poetą rozpaczy, bohater polski, jeden z wallenrodycznych konspiratorów, lotnik, któremu brak do prometeizmu tylko tego, że nie umie obliczyć ilości niezbędnej do lotu benzyny, spada na pancernik niemiecki. A znalazłszy się śród wymusztrowanych in Reiche und glied marynarzy niemieckich odczuwa tęsknotę do dolce far niente.

I teraz o ten Śląsk idzie wielka historyczna stawka, do jakiego należeć narodu.

— — — — — — — — — — —

Spędziłem na tej ziemi Sporu dni kilkanaście świeżo, teraz i wśród gorączki plebiscytowej. Lat temu około trzydziestu, jako akademik, miałem w Katowicach mocne i tajne „rodaków rozmowy" z górnikami w Katowicach. Wkrótce Polizei odstawiła mnie za kordon, do Sosnowca. Odtąd nie byłem tam. To co teraz zobaczyłem przeszło wszelkie moje oczekiwania. Praca Miarki, Korfantego i setek innych działaczów wydała ogromną obfitość owocu. Lud na Śląsku Górnym jest tak uświadomiony dynamicznie, czynnie, jak może w żadnej innej dzielnicy polskiej.

Prawdopodobnie główną przyczyną tego faktu, pozornie trudnego do wytłomaczenia dla umysłów nie obznajmionych z teleskopem dzie-

jów, jest to, że ślązacy są rasą najbardziej polską w starem, słowiańskiem tego słowa znaczeniu. Śląsk Górny nigdy nie dzielił z Państwem Polskiem ekspansji na Wschód. Raz jedyny w stuleciu XIII tatarzy i to na kilka miesięcy tylko zapuścili się aż po Lignicę, zresztą innych wpadów, ani podkopów, ani zmęczeń z elementami wschodniemi na Śląsku nie było wcale. Częściowe krzyżowanie się z germanami nie zepsuło rasy, raczej wzmocniło ją. Jest pewne, że ci z Ślązaków, którzy dzisiaj wydają się pozornie zupełnie zniemczeni, z łatwością wrócą do polskości, oczywiście pod tym warunkiem, że państwo polskie będzie rzeczywiście przedstawiało elementy siły twórczej i porządkowej. Polska w gromadzie posiada wielką siłę organizacyjną dla Niemców prawdopodobnie dla tego, że nasz obyczaj jest od niemieckiego bardziej ludzki, „radości życia" bliższy. Niemcy są bieglejsi w tworzeniu państwa, Polacy w tworzeniu narodu. Dla tego produkt współżycia i skrzyżowań, Ślązacy, Poznańczycy, Pomorzanie są przedewszystkiem powołani do zbudowania narodowego państwa Polskiego, opartego jednocześnie na prawie publicznem i na łagodnym, wesołym obyczaju słowiańskim. To państwo ma być murem oddzielającym pikelhaubę od knuta, tak zawsze skorych do sojuszu, i centrum cywilizacji l u d z k i e j we wschodniej połowie Europy, cywilizacji bez gazów trujących w celach użyteczności publicznej i bez morderstw „czrezwyczajek" dla dobra ludu. Czy tak będzie, nie wiem. Wiem że tak być może, jeżeli Polacy chcą naprawdę być wolni. Wolność to wola. Wola narodu jest jak basen morski, to spokojny, lekko marszczący się w chwili powszedniej, to wichrem pędzony ku brzegom, wzburzony, niekiedy wściekły. Czasem wysycha wola narodu, jak wysychają baseny morskie—do dna. I kończy się... fiat!

Ślązacy mają taką wolę, i niechaj nikt nie przypuszcza, że ugięli by się pod nierządem dotychczasowego rządu warszawskiego. Jeżeli chodzi o ich rodowód etniczny, sięgający do półmisków okresu wędrówki narodów, mienią się być potomkami historycznych Kwadów, jak Czesi są, wywodzą się od Markomanów. Ksiądz Szramek z Mikułowa, gdzie jest wielka drukarnia Karola Miarki) posiada stary wiersz łaciński: „precz z Teutonami, niech żyją Kwady".

Ten gorący odłam Polaków, mówiący mocno podgermanizowaną polszczyzną, acz zachowujący jeszcze wiele wyrazów staropolskich rdzennych, wyszłych już gdzieindziej z użycia, przyczem dodać trzeba, że złośliwą głupotą byłoby wyśmiewać owo skażenie języka u ludu, który zdołał w niewoli pruskiej zachować czystą dumę polską, jak to czyniły pewne elementy z Małopolski i z Kongresówki na Pomorzu — ten odłam Polaków odznacza się głębokiem poczuciem religijnem i zamiłowaniem muzyki i śpiewu. W Akademji Krakowskiej jest złożony rękopis — zbiór 1500 piosnek Śląskich z nutami, odebrany od Niemców, którzy już go wynieśli byli do Wrocławia. Pieśni, pod względem powagi i głębi uczucia stoją znacznie wyżej od Krakowiaków, wesołych, ale często pustych i bezmyślnych. Mimo to Ślązak bynajmniej nie jest ponury; przeciwnie, bardzo lubi wesołość i zabawę, a pielgrzymki do Częstochowy doskonale godzi z *Kocyndrowaniem* (Kocynder znaczy to samo, co w Warszawie andrus, we Lwowie—batjar). Jednakże najważniejszym przymiotem Ślązaka — jest jego zdolność decyzji i stanowczość, jaką wykazuje przy obronie swoich praw polskich. Dowiodło tego powstanie sierpniowe, bezprzykładne w dziejach ludu polskiego innych dzielnic, z wyjątkiem poznańskiej, które było istotnie powstaniem narodowem, ani buntem, ani spiskiem, ani agrarną wojną chłopską, ale walką o niepodległość. Krwawą ofiarę spłacili zarówno górnik i hutnik, jak siedlak, wyrobnik i chałupnik.

Zresztą twardego oporu ludu śląskiego doznał wielokrotnie i rząd pruski. Coprawda nigdzie pańszczyzna pruska, dozorowana przez obszarników niemieckich, nie srożyła się w takim stopniu, jak na Górnym Śląsku. Podczas gdy na Dolnym niemieckim Śląsku wieśniak odrabiał tygodniowo dwa dni, na Dolnym musiał pracować 5 do 6 dni. Niebawem po zajęciu Kraju przez Fryderyka II rozpoczął się szereg powstań ludowych. Pierwszy raz w r. 1766 rozpoczęło się w Rybniku i rozszerzyło się na Raciborz, Pszczynę, Bytom i Gliwice. W r. 1780 znowu ruch w Pszczynie. W r. 1781 w Kluczborku. W r. 1782 w Prądniku, w r. 1786 w Namysłowie, w r. 1793 w Opolu, Kluczborku i Raciborzu. Wreszcie w r. 1807 wybuchnęło powstanie największe z wszystkich jakie były. Osiemdziesiąt i jedna gmin, od Głupczyc do Pszczyny zaprzysięgły raczej „dać się porąbać w kawałki, niżeli dalej pracować na pałace". Wszystkie te ruchy rząd pruski tłumił krwawo



GENERAŁ LUCJAN ŻELIGOWSKI

Autolitografja Adama Grabowskiego, wydana nakładem Antykwarjatu Polskiego Hieronima Wildera.

wojskiem, torturą i bastonadą. Wielu Ślązaków uciekało do Polski.

Siew junkrów pruskich był cierpki, bardzo gorzki. Na takiej niwie politycznej wyrósł silny charakter Ślązaka. Nieznana tu romantyka Kordjanów i Wallenrodów. Panowała tu otwartość stosunku. „Raczej dziesięć lat więzienia, niż dwa lata służby u Jaśnie Wielmożnego Pana" hardo stawiał się Ślązak. Dzisiaj niema tu żadnych antagonizmów klasowych międzypolskich. Wszystko jest ludem pracowitym, porządkowym, pełnym godności osobistej, wytwarzającym inteligencję w miarę możności rzeczywistych z łaski Bożej. Oczywiście brak tej inteligencji do administrowania olbrzymim aparatem przemysłowym i na tem polega kłopotliwość położenia, ale za to niemasz tej pseudointeligencji zwyrodniałej, lekkomyślnej, próżniaczej, rozumkującej, frazesowej, tych Papkinów czynu lub górnobrzmiących idei, od jakich roi się Małopolska i Kongresówka, produkty niewoli austrjackiej i moskiewskiej.

Lud polski chciałby widzieć w Polsce czułą matkę i mądrą opiekunkę. To się czuje, że gotów jest oddać krew bez zastrzeżeń. Przechodzi do niej z wiarą, nadzieją i miłością, jako jestestwo zdrowe, żądne pełni życia. Komisarjat blebiscytowy, sterowany bardzo umiejętną i patrjotyczną dłonią Wojciecha Korfantego, działa wzorowo. Oni robią wszystko, aby wygrać wielką dziejową stawkę. Reszta należy do zjednoczonej Polski i jej obecnego rządu.

O najpiękniejszą perłę korony Polskiej, korony Piastów chodzi. I przychodzi mi do sesca ostrzeżenie apostoła Pawła: „a ktoby mi zgorszył jednego z tych, którzy we mnie wierzą, temu..." To ostatnie jest bez zastrzeżeń, wyższe po nad kręte kombinacje węzełków dyplomatycznych.

Fragment uczucia.

— — — — — — — — — — — — —
...Otóż i jesień. Drzewa smutne stoją.
Niszczeją liście na martwej gałęzi.
Rozpinam skrzydła nad tęsknotą swoją
i smutek spuszczam, jak charta z uwięzi:
niechaj wybiegnie na pola i w bory,
niech ślady letnich wałęsanek węszy
i niech powraca w samotne wieczory
do mnie... tęskliwszy i coraz szaleńszy.
Jak pies przyciśnie głowę do mych kolan,
do oczu zajrzy mi — smutek mój własny,
przypomni kwiaty cichych leśnych polan
i jakiś cudny czerwcowy dzień jasny...
jakąś muzykę, co z okna wieczorem
spada garściami, jak kryształ rozbity...
na lip wierzchołach rozpięte błękity, — —
wszystko to będzie wspominać z uporem,
aż mi głód szczęścia w pierś szlochem się wtłoczy,
i pójdę płonąc i drżąc ze wzruszenia,
na świat poniosę ciemne smutkiem oczy,
by patrzyć, jak się wszystko wyjesienia:
na niebie w jednej spowiniętem chmurze,
na wodzie sennej i ciężkiej jak ołów,
na liściach w złocie, w wosku i purpurze...
I w tem dzwonieniu, które od kościołów
na Anioł Pański o zmierzchu wylata,
by zająć skrzydłem myśl w dzwon zasłuchaną
i ludzką duszę odgrodzić, jak ścianą,
przedziwnym smętkiem od całego świata...

Eugenjusz Korwin Małaczewski.

Gustaw Olechowski.

ZUPEŁNIE NOWY ŚWIAT.

Mój towarzysz podróży spoglądał na otaczających nas ludzi, na przechodzącego konduktora, wreszcie na świat — przez szyby wagonu z wyrazem melancholji, może niechęci, ale i pewnego zaciekawienia. Miał taką minę, jakby oglądał coś, co mu sprawia niemiłą niespodziankę.

Ponieważ nie mam zwyczaju robić znajomości w podróży, niecierpię gadułów wagonowych, którzy zapytują — a dokąd też pan dobrodziej jedzie? — z takiêm zainteresowaniem, jakby po to właśnie wsiedli do wagonu, ponieważ na stosowane do mnie pytania takie odpowiadam zwykle: spytaj się pan maszynisty — więc — tym razem wyjątkowo — dla stwierdzenia reguły — zapytałem moje vis-à-vis:

— Czy pan nie uważa, że przez rozbitą szybę trochę wieje i że możnaby okno czemś zasłonić.

— Wszystko mi jedno, proszę pana, może wiać, może pan zasłonić, jak się panu podoba. To nie zmieni nic. Cokolwiekby pan zrobił, wszystko na nic. Tu pan zasłoni, to jakiś pasażer otworzy drugie okno, nie pytając się o to nikogo, inny siądzie panu na głowie, porucznik Janicki wyrzuci pana z wagonu, konduktor pana zwymyśla, — nie, panie, to nic panu nie pomoże.

— Pan, widzę, należy do zwolenników caratu.

— Co?

— Woli pan dawne czasy, przedwojenne.

— Tak, panie, porządek był, rozumie pan, był porządek rzeczy. Szyba była cała, a konduktor grzeczny. Inżynier był dyrektorem fabryki, oficer miał przepisy, ksiądz mszę odprawiał, a złodziej siedział w kryminale. A dziś — tfu!

— Nie wolno pluć na podłogę.

— Chciałbym żeby społeczeństwo miało twarz. Wówczas nie plułbym na podłogę.

— Cóż społeczeństwo winno?

— Niewiem, panie, kto winien. Wiem tylko, że ja się już duszę i miliony takich jak ja — duszą się. Z tem, panie, trzeba skończyć. Pan wie, jaki jest dziś kurs marki w Gdańsku?

— Wiem. 12.

— Do czego my dojdziemy, panie, do zera?

— Owszem, i to nie długo.

— I pan to tak mówi?

— Nawet cieszę się.

— Pan żartuje, a ja mówię serjo.

— Ja też mówię serjo. Jak marka już nic nie będzie warta, kiedy pieniądz wogóle stanie się niezdatnym do użytku papierem, wówczas ludzie nareszcie zrozumieją, że trzeba pracować, dużo i wydatnie, że trzeba wytwarzać, produkować, bo za pieniądze nic niema; — tylko towar, przedmiot ma wartość. Będzie to w Polsce początek prawdziwego bogacenia się. Będziemy wytwarzali.

— Skąd weźmiemy maszyn?

— Część zrobimy sami w tych fabrykach które posiadamy, resztę da nam zagranica.

— Zaco?

— Nie za co, ale na co. Na kredyt naszej pracy.

— Dla czegóż teraz nie daje?

— Nie dajemy ewikcji. Nie widzę byśmy pracowali. Niech pan pomyśli. Na 30 miljonów narodu jest 15 miljonów kobiet z których może milion pracuje wytwórczo. Dzieci, młodzieży i starców jest z 10 miljonów. Jest więc 6 miljonów pracowników mężczyzn i kobiet. Z tego przynajmniej miljon żydów — pośredników nic nie wytwarza. Pozostaje pięć. Niech pan odejmie od tego wojsko, duchowieństwo, urzędników — razem dwa miljony — nic nie wytwarzających ludzi. — Zostaje trzy miljony. Bezrobotnych, próżniaków, lumpenproletarjatu, chorych i wszelkich nieużytków jeszcze z miljon. I oto otrzymamy zaledwie jakieś dwa miljony istotnych pracowników — wytwórców: w rolnictwie, kopalniach, fabrykach. To za mało. To musimy zmienić.

— Ale jak?

— Stopniowo. Podniesiemy oświatę.

— Ho, to, kiedy to będzie. A tymczasem zagranica nam pożyczki nie da.

— Nie może dziś dać państwu, które niema granic, konstytucji, pokoju, jednolitego prawodawstwa, własnej właściwej monety.

— No więc cóż my mamy?

— Wszystko to, co można mieć po dwóch latach istnienia. Nie można mierzyć „dziś“ miarą „wczoraj”. Wojna wykopała przepaść między „wczoraj” a „dziś”. „Dziś” — to zupełnie nowy świat. Wczorajsze prawdy stały się dziś fałszem. Wczorajsze gmachy runęły. Powstały nowe. Nowe życie, nowe obyczaje, nowe prawa.

— Bezprawia, chciał pan powiedzieć. Złodziej na złodzieju siedzi.

— Tak jest. Kradnie ten, kto nie wierzy w trwałość Polski i chce się obłowić w „sezonowem” państwie. Kradnie ten, kto tkwi jeszcze w etyce przedwojennej — rosyjsko-austryjacko-pruskiej, kradnie ten, kto musi, z biedy, kradnie ten kto w każdej sytuacji byłby złodziejem, ale tylko ten ostatni pozostanie na łup sądu. Tamte typy wkrótce znikną.

— Ależ panie, na miłość Boską, czy pan nie widzi, że dziś życie stało się paradoksem, a to być nie może, że dziś kanalarz więcej zarabia od profesora, robotnik chce rządzić inżynierem, żołnierz krytykuje oficera, sejm ma analfabetów, rząd dyletantów, na osiemdziesiąt osób ludności wypada jeden urzędnik, że minister nawet nie może wyżyć z pensji, że wszystkie dochody państwa nie wystarczają nawet na połowę urzędniczych poborów, że zamiast głowy państwa — ministrów, mianują partje, że...

— Wiem, że życie stało się paradoksem, dlatego też trzeba je paradoksalnie traktować.

— A więc może — im gorzej, tem lepiej.

— Nie, tylko nie należy się martwić tem co być musi.

— Ale kiedy poprawy nie widać. Czy pan wie, co mi dziś mówił człowiek bardzo godny wiary? Mówił mi, że w Dąbrowie nagromadziły się góry węgla, których niema czem wywieźć, więc się pali, a tymczasem pod Dęblinem stoi 8,000 wagonów pustych, z któremi kolej nie wie co robić, a w Warszawie gazu niema; że w Warszawie cukier po 100 marek funt, a na Wołyniu nasi oficerowie konie cukrem karmią; że w Łodzi głód ostateczny, że w Modlinie w szkole kadetów chłopcy są głodni i płaszczów nie mają.

— Musi pan to wszystko sprawdzić, może to bajki.

— A jak to się panu podoba, że żydzi wywożą miljony i miljony marek do Gdańska dla deprecjonowania jej, a wie Pan jak? Oto przy lokomotywie, w tendrze, w węglu.

— To trzeba donieść władzom.

— Na co? U nas się za przestępstwa nie karze: w tych dniach szofer przejechał na śmierć mego znajomego. No i nic. Trupa pochowali, a szofer jeździ i gwiżdże.

— Policja nie ma autorytetu, bo jest małego wzrostu, źle ubrana i zanadto uzbrojona!

— Pan ciągle mówi paradoksy.

— Już panu mówiłem. To jedyna rada. Niech by tak spróbowano zastosować się do moich paradoksów a byłoby dobrze. Ręczę. Widzi pan, nonsens obecnego życia naszego polega na tem, że my ciągle jeszcze mierzymy zjawiska — materjalistycznem pojmowaniem dziejów, a tymczasem wszystkie zjawiska mają duszę, — jest to moje odkrycie — nawet szofer ma duszę, trzeba tylko umieć na nią podziałać. My dziś robimy szalone wysiłki, by za marki kupować w Ameryce, Anglji, Francji, Niemczech towary — obniżmy markę do zera, wówczas nic za pieniądze nie będziemy mogli kupić zagranicą. Ponieważ jednak jesteśmy poważnym dla niej rynkiem zbytu i zagranica towary wywozić musi, dadzą nam wówczas na długoletni kredyt. My się martwimy, że marka źle stoi, ale yankee ma większe zmartwienie, że dolar zbyt dobrze stoi i wkrótce nikt nie będzie mógł nic w Ameryce kupić, a to będzie dla niej bankructwem.

— Można oszaleć.

— Nie trzeba. Trzeba tylko zrozumieć, że żyjemy w zupełnie nowym świecie, że wszystko ma swoją duszę i że hasłem epoki będzie paradoks.

— Co to pomoże wobec ogólnej nizkiej kultury.

— Podejmuję się podnieść ją w bardzo krótkim czasie.

— Znowu paradoks.

— Przyzna pan przecież, że mydło też ma duszę i że łachmany mają wymowną duszę.

— Cóż z tego?

— Polacy nie są ludźmi nizkiej cywilizacji, tylko nizkiej kultury. Czy pan nie zauważył nigdy, że chłop czy robotnik, gdy się na święto umyje i porządnie ubierze — inaczej się zachowuje, inaczej prowadzi, inne ma maniery, inne myśli, tak panie, inne myśli; że człowiek pokryty brudem i łachmanami ma brudne myśli, — jest mu wszystko jedno, o nic nie dba. Gdyby nasze ministerstwa zdrowia oraz sztuki i kultury to rozumiały, toby za pomocą kilku pociągów mydła i kilku pociągów nowych ubrań, za pomocą spalenia wszystkich łachmanów, zapomocą wybudowania łaźni, setek, tysięcy łaźni i ostrego prześladowania brudasów — podniosło w mig całość kultury narodowej. Widzi pan więc jak prostemi środkami bym operował. Umyć się i przyzwoicie odziać, to już połowa dobrobytu, zupełnie inny stan duszy. Jestem najmocniej przekonany, że Pan nie miałby tak czarnych

myśli, gdyby ten wagon był wyszorowany, wymyty, wytrzepany, wyczyszczony. Weselej by pan patrzał na świat.

— Może i racja.

— Jestem najmocniej przekonany. Najfatalniejszym błędem minionej epoki było tak zwane materjalistyczne pojmowanie dziejów. Absurd ten przyprawił o bankructwo zarówno Marxa jak Blocha, który przepowiadał niemożność prowadzenia wojny dłużej nad 3 miesiące, jak również cały niemiecki światopogląd, który obliczył wszystkie siły materjalne potrzebne do pobicia świata, zapomniał tylko o siłach duchowych, które właśnie zwyciężyły. Jeżeli w dalszym ciągu będziemy hołdowali starym hipotezom o „prawach" ekonomicznych i innych, które są czystą imaginacją i konwencjonalnemi formułkami, nie odpowiadającemi istocie człowieka, który nie jest maszyną i dlatego nie da się obliczyć, to nie wyjdziemy z zaczarowanego koła i nie zrozumiemy nigdy tych potężnych zjawisk, których jesteśmy niemymi a często ślepymi świadkami, a więc ani nie zrozumiemy upadku wielkich mocarstw a powstania nowych, ani tego, że narody przestały się już stykać za pośrednictwem królów, a weszły z sobą w kontakt bezpośredni, ani zrozumiemy czem jest związek narodów, ani nic w tym rodzaju. Tak panie, świat cały, stary świat, a z nim i Polska jest w tej chwili jeszcze w stanie płynnym. Nie wszystko w tym chaosie da się uchwycić, zdefiniować, uzależnić. Ale to przyjdzie.

— A tymczasem giniemy.

— Nic podobnego. Cierpliwości, wytrwania, a nadewszystko pracy. Musimy dojść wprzód do pewnego ładu. Niechże pan nie zapomina, że w Polsce zmieniła się cała struktura społeczna, że włościaństwo z masy biernej staje się czynnikiem ważkim, że proletarjat fabryczny, z aktywnego czynnika wolnościowego stał się passywnym czynnikiem absolutyzmu, że t. zw. zawodowa inteligencja, czyli inteligencja zawodowa straciła zupełnie swoją rolę, że ziemiaństwo odsunięte zostało od stanowiska przodującego, że powstały nowe warstwy — biurokracja i wojskowość, przecież wszystko to musi się ułożyć, wejść w nową rolę.

Zmrok zapadał, w wagonie światła nie było żadnego, ciemno, zimno, ciasno i do domu daleko, bo pociąg się wlókł okropnie, jak na śmierć.

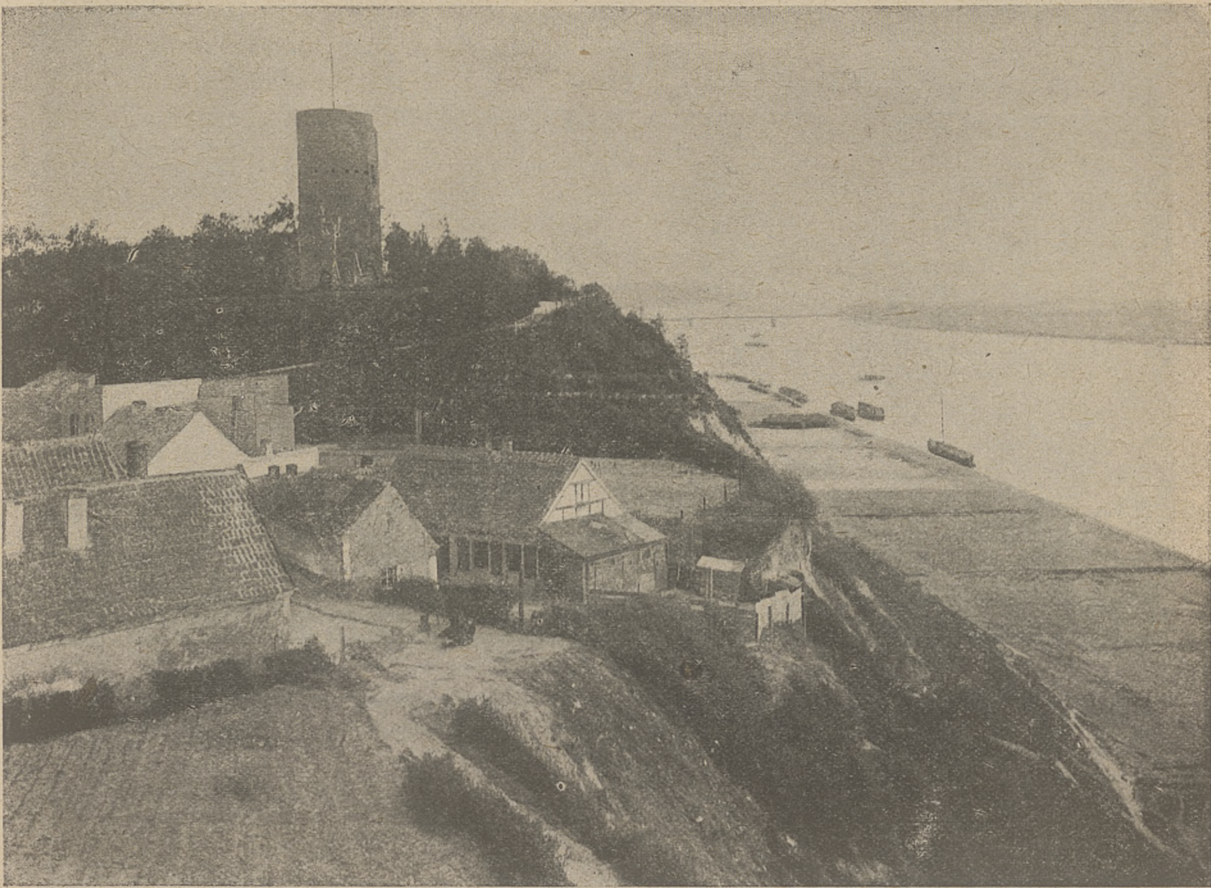
— No, a to, naprzykład nie mogą to człowieka djabli wziąć na takie porządki! A koleje kosztują 13 proc. całego naszego budżetu. Czy to nie warto by przecież kogo zlynczować za to.

— Zgadzam się z panem. Przydałoby się małe pranie domowe.

— Na najbliższej stacji wyjdę na peron i nawymyślam naczelnikowi stacji. Ulży mi to, a może co pomoże.

Wyszliśmy na stacji z wagonu ale naczelnika stacji w żaden sposób znaleźć nie było można.

Z widoków Pomorza.



Grudziądz. Góra Zamkowa z widokiem na Wisłę.



Grudziądz. Widok na miasto od strony Wisły.



Uroczysty obchód w dn. 2 listopada r. b. ku uczczeniu poległych za ojczyznę.
Pomnik prowizorycznie postawiony w Alei 3-go Maja.



Uroczysty obchód w dn. 2 listopada r. b. ku uczczeniu poległych za ojczyznę. Na czele pochodu dążą: marszałek Sejmu Trąpczyński (po lewej stronie) i prezydent ministrów Witos (po prawej).

(War. Ag. Fot.).



Uroczystość wręczenia buławy marszałkowskiej Naczelnikowi Państwa, Józefowi Piłsudskiemu, w dniu 11 listopada r. b.

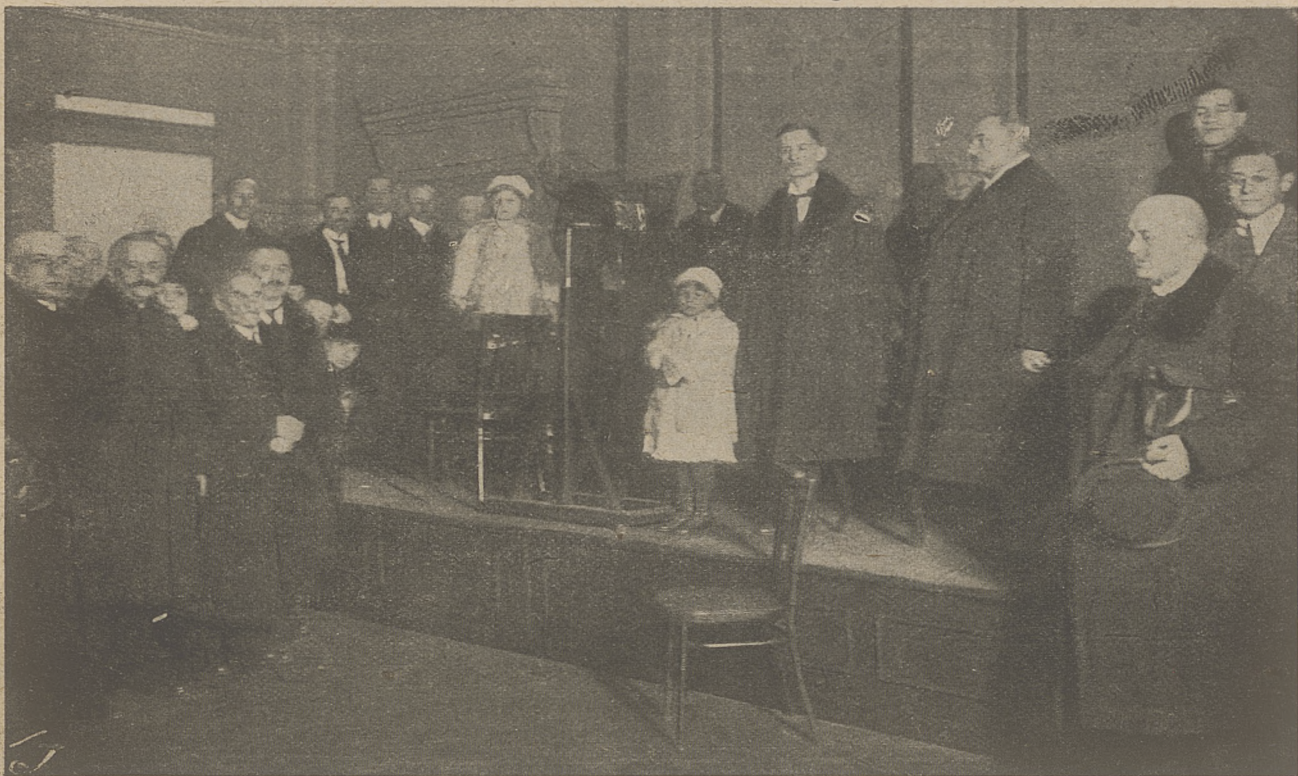


Poświęcenie buławy marszałkowskiej.

(War. Ag. Fot.).



Szef Sztabu Generalnego, generał Rozwadowski, ze swojem otoczeniem przy mapie w wagonie kolejowym na froncie.



Pierwsze ciągnienie, tak popularnej u nas „miljonówki", w dniu 6 listopada r. b.
(War. Ag. Fot.).

Malowanki.

Stoi szary czworobok żołnierzy
w Siemiatyczach, w przedpolu kościoła.
Ranek w zimnej, wilgotnej odzieży
szedł po kościach żołnierskich dokoła.
W gęstym mroku jakgdyby z wieczora
pułk rozpoznał na koniu majora.

W czworoboku brzask stanął już siwy,
mrok na dachu świątyni umierał,
kiedy wyszedł z jej wnętrza i dziwy
prawił swoim żołnierzom generał:
mówił o tem, jak pełen cnej wiary
zwycięstw Polski doczekał wódz stary.

„Oto sztandar. Ten sztandar, me dzieci,
jeszcze nasi ojcowie nosili
w rok pamiętny, sześćdziesiąty i trzeci
od Warszawy nam dany w tej chwili,
za obronę stolicy, za męstwo —
za Radzymin, za krew i zwycięstwo.

Pamiętajcie, żołnierze. Ramiony
to waszemi świątynię Bóg stawia
— dom wolności dziś przez was wzniesiony
w pył obraca bałwany bezprawia
— a widomą oznaką tej wiary
krew, i czyn to, i wasze sztandary.

Więc z ufnością oddaję pułkowi
Wileńskiemu ten sztandar w podzięce
dany. Chłopcy, wiem, żeście gotowi
iść po nowe zwycięstwa. I w ręce
majorowe kładł sztandar — generał —
...sztandar ciche honory odbierał.

Złote słonko, to słonko piastowe
i ta jasność dnia tego tak skora,
szczodrze niecąc promienie wciąż nowe,
zobaczyła na koniu majora
i na drodze w obłokach kurzawy —
pułk Wileński, a sztandar z Warszawy.

JANUSZ KREMKY
pchr. Wileńskiego p. Strzel.

Mieleszki 10/XI-20.

O, nie patrz...

Niby okruchów rozsypane bronzy
Przedemną liści wiruje gromada
I melancholja w dziuplach drzew przysiada:
Smętna staruszka podobna do bonzy.
I na tle nagich, konających pali
Las mi się biedną świątynią wydaje,
Którą wędrowne napadły achaje,
Kradnąc poszycie z jarzębin korali.

— — — — — — — — — — —

O, nie patrz słońce na cudów ruinę,
Bo mi tak smutno i tak uroczyście
Jakby me serce tam — gdzie zwiędłe liście
Leżało cicho, odrętwieniem sine,
Jakby mi jakaś rozbójnicza ręka
Podcięła kwiaty miłowania godne.
Więc nie patrz słońce... Lepsze noce chłodne,
Niźli świadomość że się w gruzach klęka.

— — — — — — — — — — —

M. SZURŁO G.

Zakopane 16/X — 20.

Losy.

Morskie bitwy wielekroć przegrane,
Nerwy bólem stargane i głodem,
I za wszystko mam jako nagrodę:
Szumy długich bałwanów i pianę.

Lecz mnie nęcą u burt wodogrzmoty,
Szlaki po nich ku piennym bezbrzeżom
I na lądzie umieram z tęsknoty,
Którą tylko orkany uśmierzą.

JERZY BOHDAN RYCHLIŃSKI.

2) Xawery Glinka.

ŁUNA.

(Rozdział III-ci powieści, która pod powyższym tytułem ukaże się wkrótce na półkach księgarskich).

Dokończenie.

Wpływ i władza, jaką posiadał oficer w wojsku, poczęły topnieć, z dnia na dzień. Elementem, deprawującym masę, prócz żydów, był element rekrutujący się z kadrów byłej carskiej policji i żandarmerji, z agentów byłej ochrany, z najczarniejszej swołoczi carskich siepaczy i opryszków starego regime'u, którzy wiedzeni instyktem samozachowawczym—stawali się najżarliwszymi wyznawcami rewolucji, przemalowując krwią burżujską na czerwono czarny kolor swego charakteru i przekonań.

Pomimo tych epokowych wypadków—życie w szpitalu wlokło się narazie jak dobrze nakręcony zegar. O ósmej herbata, o dwunastej obiad, barszcz i kasza, o siódmej kolacja takaż sama jak wczoraj — o dziewiątej spać. I znów od początku—to samo. W międzyczasie wizyty doktora, czyjaś śmierć, tak samo smutna jak to życie szpitalne, opatrunki, rozmowa z siostrą...

Łoś lubił te rozmowy z siostrą Katią. Na tle tego suchego, urzędowego nawskroś bytowania w wojskowym szpitalu—siostra Katia była uosobieniem serdeczności, piękna, kobiecości i ciepła. Gdy wszystko naokół było takie zimne, brzydkie, odrażające, nieludzkie — jej uśmiech jakim darzyła szczodrze chorych na sali — był tą niezbędną do życia gałęzią kwitnącą, wokół której owitały się niby powój serc żołnierskich tęsknoty najtkliwsze. Jej uśmiech był jedyną słodyczą, pociechą, wypoczynkiem nadzieją a często ratunkiem dla porzuconych gdzieś w dalekim i obcym szpitalu żołnierzy. Był to uśmiech matki, siostry, żony, kochanki i córki—dla tych biednych osamotnionych synów, braci, mężów, kochanków i ojców. Każdy z nich odnajdował w tym uśmiechu to, co mu było najbardziej do życia potrzebne, za czem najwięcej tęsknił, co najmocniej kochał, a czego mu było tak bardzo, tak aż do bólu brak.

Siostra Katia rozumiała aż nadto dobrze jakie uczucia wzbudzała na sali, zeznawała całą moc krzepiącą swego uśmiechu, swego pojawienia się u łoża najbardziej cierpiących, pieszczoty swej delikatnej dłoni po twarzy okolonej szczecinowatym zarostem. Od tej pieszczoty, z tych pachnących palców — spływała w samo serce jakaś słodycz, że już lżej było umierać na wygnaniu, daleko od domu i swoich. Siostra Katia umiała nieraz jednem słowem opromienić całą nędzę szpitalnego życia.

Łoś lubił te rozmowy z siostrą Katią — tak samo zresztą jak inni żołnierze. Lubił gdy czasem przed wieczorem, w porze kiedy przez okno wpadały ukośne, czerwone smugi słońca, siostra Katia siadała na chwilę przy jego łóżku. Opowiadała mu wtedy o wypadkach minionego dnia, o nowinach szpitalnych, o zdarzeniach w Petersburgu. Pytała go o zdrowie, o dom, o rodzinę, o blizkich...

Mówił jej wówczas o swojem życiu, o tem, że jest sam, że z rodziny ma tylko stryjecznego brata z którym się rzadko widuje, że przed wojną był urzędnikiem i służył w banku w Kijowie i że po skończonej wojnie ma zamiar wyjechać do Polski.

— Jak się wojna skończy — wyjadę do Polski — mówił jej pewnego razu. — Pewnie Polska będzie już wtedy wolną. Jak Pani myśli?

— Ja myślę, że tak. Dziś kiedy wybuchła rewolucja, staje się bardzo prawdopodobne urzeczywistnienie odezwy Naczelnego Wodza Mikołaja Mikołajewicza do polaków. Przecież w odezwie tej jest zapowiedziane — że Polska ma być wolną?

— Pani się myli, tam tylko jest mowa o autonomji, jaką Rosja ma dać Polsce. Nic więcej. Kto wie czy rząd rewolucyjny rosyjski zechce pójść dalej w urzeczywistnieniu marzeń polskich — niż to czyni odezwa. Ja marzę o Polsce innej, o Polsce niepodległej, o Polsce niezależnej ani od Rosji ani od Niemiec jak obecnie! Słyszała Pani zapewne, że podobno niemcy ogłosili niepodległość Polski?

— Coś nie coś było o tem w gazetach — ale to chyba blaga.

— I ja tak sądzę. Niemcy są sprytni. O Boże, kiedyż już się skończy ta wojna! A może lepiej żeby się jeszcze nie kończyła? Chciałbym być teraz w Warszawie. A wie pani, że ja nigdy jeszcze nie byłem w Warszawie? I nietylko w Warszawie—ale wogóle w Polsce?

— I mimo to tak pan tęskni do Polski? Chce pan tam jechać? Nie rozumiem.

— Cóż w tem dziwnego. To niedawno, z chwilą wybuchu wojny zrodziła się we mnie taka tęsknota do Ojczyzny. Póki był pokój — nie myślało się jakoś o tem. Człowiek tak ugrzązł w swojej pracy codziennej, w małych sprawach i kłopotach — że nawet nie zastanawiał się nad takiemi rzeczami jak Ojczyzna. O Bogu, to się jeszcze czasem myślało. A i to tylko dlatego, że kościół był pod bokiem. Ale Ojczyzna? Ta była daleko. Lecz gdy wybuchła wojna, gdy człowieka oderwali od codziennej pracy i powiedzieli: idź, bij się za Ojczyznę! — mimowoli przyszło zastanowienie: Za jakąż to ojczyznę mam pójść krew przelewać? Dopiero wówczas uświadomiłem sobie, że jestem polakiem. Tam na kresach było nas takich więcej. Dopiero wtedy — pani rozumie? Pani się nie gniewa, że ja tak szczerze mówię — chociaż pani jest rosjanka? Może to pani przykro?

— Ależ nie. Niech pan mówi.

— Otóż — ciągnął dalej Łoś — otóż gdy przyszło mi iść bić się za Ojczyznę — musiałem sobie zadać pytanie: za jaką, za czyją? I rozwiązałem to pytakie odrazu: za moją, za Polskę! To bardzo proste było — a jednak trzeba było na to wojny. Gdyby nie to — umarłbym może w tej nieświadomości. Dziś wiem, że trzeba najpierw wypędzić niemców z kraju. Niemiec to największy wróg Polski. Rosja walczy z niemcami. Przeto walcząc w szeregach rosyjskich przeciw niemcom—tem samem walczę za polską sprawę. Gdy się wypędzi niemców—to wtedy...

— Co wtedy?

Łoś zawahał się. Rozmowie ich przysłuchiwało się kilku żołnierzy z sąsiednich łóżek.

— To wtedy będzie Polska — zakończył wymijająco.

Siostra Katia powstała z łóżka.

— Dam panu jedną radę — rzekła półgłosem i nachyliła się nad Łosiem, poprawiając kołdrę.

— Jaką?

— Niech pan będzie bardziej ostrożny w słowach. Ja pana rozumiem dobrze. Ale inni mogę źle zrozumieć — i... zrobić z tego użytek. Teraz czas wojenny—dodała i odeszła poprawić poduszkę jakiemuś innemu choremu.

W parę dni po tej rozmowie siostra Katia znów usiadła przy łóżku Łosia.

— Wie pan—zazdroszczę panu jednej rzeczy — rzekła.

— Mnie można czegoś zazdrościć — zdziwił się Łoś.

— Niech pan sobie wyobrazi, że można. A wie pan czego?

— No?

— Zazdroszczę panu uczucia patrjotyzmu. Zazdroszczę panu tej wiary w sprawę o którą się walczy. To macie wy wszyscy polacy. Ja jestem rosjanką i wcale tej wiary nie posiadam. I nietylko ja—ale wszyscy nasi naokół. Idą jak barany na rzeź. Każdy tylko wymyśla sposoby jakby się od wojska wykręcić. Każdy tylko myśli o sobie, o swojej osobistej wygodzie, każdy oszukuje, kłamie, kradnie. Nie mamy żednego zapału, wiary, poczucia obowiązku względem ojczyzny. Jesteśmy pod tym względem zupełnem bydłem.

— Ale co pani mówi — zaprzeczył Łoś — przecież i wśród was zdarzają się czyny odwagi, poświęcenia, ofiarności.

— To są wyjątki. Nieliczne wyjątki — podjęła żywo siostra Katia — ogół to bydło. Ja to panu mówię, ja—rosjanka. Ja sama jestem taka. Mnie samą nic nie obchodzi czy my zwyciężamy czy nas zwyciężają. Pan może sądzi, że ja przez patrjotyzm, przez poczucie obowiązku ojczystego poszłam na front jako siostra miłosierdzia? Pan się w takim razie grubo myli. Ja poszłam jedynie w poszukiwaniu wrażeń, czysto osobistych wrażeń, najniższego gatunku. Zresztą były i inne przyczyny. W domu byłam skrępowana — tu jestem swobodną. Mogę robić co chcę. Używam, biorę od życia co się da... Jestem szczera — prawda? Szczerość— za szczerość. Tak, tak! Tylko po to poszłam na front. Po to zresztą poszła kolosalna większość naszych sióstr. Tylko te stare i brzydkie i to nie wszystkie—poszły dla idei. Reszta tak-jak ja.

Zamilkła.

Łoś patrzył na nią z bolesnym wyrzutem. Przykrość mu sprawiło to—co mówiła ta dobra, wiecznie uśmiechnięta siostra Katia.

— Cóż pan zamilkł?

— Zastanawiam się po co mi pani takie rzeczy opowiada. Zresztą nie wierzę pani. Pani siebie oczernia.

— Śmieszny pan jest. Mówię prawdę. I dla tego mówię bo zazdroszczę panu—że pan jest inny, że pan wierzy że pan kocha swoją

ojczyznę. A u nas w Rosji — mój Boże! Pan może myśli że Rosję zbawi rewolucja? Pan myśli—że rewolucja nauczy nas kochać ojczyznę. To są żarty!

I znowu minęło parę długich, obojętnych dni szpitalnych. Siostra Katia nie zbliżała się więcej do łóżka Łosia. Łoś widywał ją tylko zdaleka, jak przechodziła przez salę w białym fartuchu i „kosynce", podobna smutnej gołębicy.

Któregoś dnia po obiedzie siostra Katia podeszła do Łosia i położywszy mu na kołdrze jakąś gazetę—szybko się oddaliła.

Łoś wziął do ręki gazetę.

Był to numer "Dziennika Kijowskiego" z przed miesiąca. Łoś z radością zabrał się do czytania przestarzałych zresztą wiadomości. Sprawiało mu rozkosz czytanie po polsku. Naraz dojrzał na marginesie gazety skreślone ołówkiem po rosyjsku słowa: „Proszę źle o mnie nie myśleć—Katia".

Minęło jeszcze pare dni. Łoś czuł się już o tyle dobrze, że doktór polecił wypisać go ze szpitala. Gdy Łoś spytał doktora czy ma już powracać na front—ten powiedział:

— Ależ skąd! Jest pan jeszcze bardzo wyczerpany. Co z pana za pociecha na froncie. Dostanie pan urlop na dwa miesiące. Najlepiej by było—gdyby je pan spędził gdzieś na wsi. Niech pan się dobrze odżywia i wypoczywa.

Nazajutrz Łoś ubrany w stary swój mundur żołnierski ogolony i uczesany, trochę chwiejny w nogach — załatwiał w kancelarji szpitala formalności papierowe. Gdy już wszystko było załatwione i Łoś zabierał się do wyjścia — weszła siostra Katia.

— Dzień dobry—Katia podała mu rękę.

— Dzień dobry pani.

— Cóż opuszcza nas pan. Dokąd że teraz?

— Przyznam się pani że jestem w kłopocie. Doktór zalecił mi wyjazd na wieś, dla odpoczynku — a ja ściśle rzecz biorąc — nie mam dokąd wyjechać. Mam coprawda stryjecznego brata na wsi, o którym wspominałem pani — ale mój stosunek z nim jest nieco naprężony. Przykro mi się narzucać jemu. Sam tedy nie wiem—co zrobię.

— Niech pan dziś wieczorem zajdzie do mnie. Mam pewną myśl. Pogadamy. Pan wie gdzie ja mieszkąm? W tej poprzecznej oficynie—obok kancelarji.

Katia uśmiechnęła się.

— Przyjdzie pan — co?

— Nie śmiem pani dokuczać.

— O tylko proszę bez zbytniej skromności. Pan wie, że pana bardzo lubię.

To rzekłszy, Katia skinęła głową Łosiowi i odeszła.

Mieczysław Łaniewski, podpor.

ZNACZENIE SPORTU.

Przy wstępowaniu do Wojska Polskiego, oficerowie, wypełniając „stan służby", spotykali się z pytaniem, jakie uprawiają sporty. Wprawdzie czas wojny nie sprzyjał systematycznemu rozwojowi i uprawianiu sportów, jednakże znaczenie sportu jest tak wielkie, że skoro życie pocznie przybierać nieco normalniejszy bieg, to niewątpliwie znowu sporty zajmą przynależne im stanowisko, w ogólnym naszym rozwoju.

Sport jest przedewszystkiem czynnikiem zdrowia, jest środkiem wychowania fizycznego, reakcją przeciw jednostronności zawodowej pracy, dalej środkiem zaspokajania ambicji, pragnieniem uznania i zabawy w znaczeniu najlepszem i najszlachetniejszem. Często można spotkać się u nas jeszcze z uprzedzeniem, że sport jest tylko zabijaniem nudy, że jest on uprzywilejowaniem wyłącznie klas posiadających i arystokracji.

Zapominamy, że na zachodzie „sport współczesny stracił wszelki arystokratyczny charakter, przystosował się najzupełniej do potrzeb dzisiejszej ludzkości, mówiąc krótko — uspołecznił się. Jasne jest, że stać się to mogło dlatego, że znaleziono w sporcie właściwości społecznie wartościowe, zdolne zaspokoić w pewnej mierze pragnienia i potrzeby nowoczesnego człowieka".

W rzeczy samej sporty znakomicie przy-

czyniają się ku temu, ażeby człowiek stanowił harmonijną całość, ażeby rozwój jego był wszechstronny, a nie jednostronny, jak to powszechnie widzimy.

W czasach normalnych, jednocześnie zdrowego pokarmu dla ducha i dla ciała, są nam zawsze w stanie dostarczyć sporty.

One bowiom, hartując ducha i ciało, wyrabiają moc, dzielność, odwagę, silną wolę i przytomność umysłu. A jeśli je zaniedbamy, wówczas mowy być nie może o jakiejś ogólnej, harmonijnej sprawności organizmu ludzkiego.

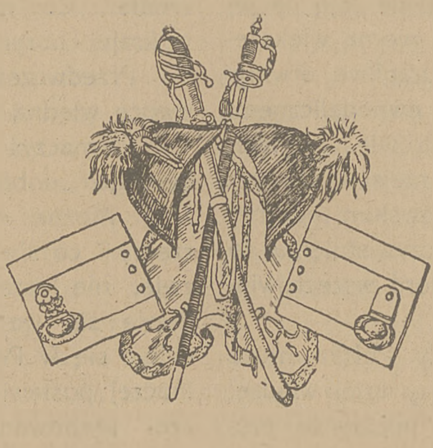
To też, do pewnego stopnia, z rozwojem i uprawianiem sportów, wiąże się, nasza lepsza przyszłość, gdyż one winny nas tak wyszkolić, by żadne niebezpieczeństwo, nie było w stanie, pozbawić nas przytomności umysłu, orjentacji, chociażby w najzawilszych i najtrudniejszych chwilach życia, oraz ażebyśmy zawsze mogli odrazu odpowiednio a skutecznie reagować, przeciwdziałać wszelkim zakusom i godzeniu na nasze mienie i zdrowie narodowe.

Jeśli wrogom potrafimy dzielnie stawić czoło, jeśli lęk i strach nas nigdy nie ogarną, a jad zwątpienia nie będzie, sącząc się w sercach i umysłach, unicestwiał najpiękniejszych czynów i umysłów, jeśli duch nasz będzie rwał się ku świetlanej przyszłości, a lot jego będzie po wsze czasy górny, zmierzający ku pięknu, dobru i sprawiedliwości — wówczas siły, oparte na naszej niezłomnej mocy narodowej, pomnożą się zogniskują i pozwolą nietylko nam dążyć, lecz i walczyć o lepszą, wspólną dolę.

Wówczas też, zaniemówią głuche dziś otchłanie rozpaczy, pochłaniające rokrocznie tak wielką ilość naszych współbraci.

Nie plugawy bowiem szept podłości i zgnilizny, będzie miał wtedy łatwy ku nam dostęp, nie to ziarno będzie kiełkować, lecz piękno rycerskiej szlachetności i dzielność prawdziwa.

To podniesie sztandar zdrowia moralnego i fizycznego, to tylko zdoła go utrzywać na należytym poziomie, to uczyni że człowiek nie będzie maszyną, złożoną tylko z mięśni, lub też z mózgu i nerwów wyłącznie. To uczyni iż potrafimy rozwój swój fizyczny i umysłowy tak wyćwiczyć i tak równomiernie zjednoczyć, że połączą go w nierozerwalny łańcuch ogniwa, ukute z najżywotniejszych bodaj z pośród wszystkich narodów, duszy i najtęższej prawicy polskiej, zahartowany w ogniu naszej dumy szlachetnej i niedoli krwawej. Poważnie zapatrując się na samą istotę sportu, potrafimy przeprowadzić właściwą ocenę znaczenia uprawiania sportów przez wojskowych, sprawność których, fizyczna i moralna musi być bez zarzutu.



NA CZASIE

Camera lucida.

W swej znakomitej książce o „Konferencji Pokojowej w Paryżu r. 1919” pisze Dillon:

„Słowianin jest marzycielem, którego poczucie rzeczywistości jest często pełne błędów. Gubi się on w mętnych ogólnikach i niedołężnych abstrakcjach. W ten sposób przed otwarciem szkoły będzie rozsnuwał teorję powszechnego nauczania, a potem lamentował nad swym brakiem środków do jej urzeczywistnienia”.

Fatalne słowa, jednakże niepodobna im zaprzeczyć! Krótka, ale już wymowna historja nowej niepodległej Polski jest aż nadto wyraźną camerą lucidą tej prawdy. Treścią życia jest walka partyj o „mętne uogólnienia” i o „niedołężne abstrakcje” u ludzi niepozbawionych dobrej woli lecz ograniczonych. Zaś dla osobników, nie liczących się zupełnie z dobrem ogólnem, bezwzględnych i sprytnych, jest to raj ruszać się bezkarnie w mglistej atmosferze frazesów, zasłaniającej zupełnie kształty rzeczywistości. Prawie zbytecznie dodawać, że niemcy i żydzi całą parą usiłują podtrzymać ten polski zmrok rzeczywistości.

Twórczość?! Wiele się o niej mówi i pisze, sentymentalne umysły i wyobraźnie roją na jej cześć piękne sny. Nie było i niema większego kłamstwa w Polsce nad te urągliwe drwiny, wygłaszane z namaszczeniem ewangelicznem. Prawdziwe drwiny, dobre, to zdrowie... trefniś, aktor są na swojem właściwem miejscu, ale wesołek, zasiadający na tronie królewskim wiecznej idei, wielkich planów do urzeczywistnienia, to już jest maximum głupoty, rekord wszechświatowy.

Twórczość? Od czasu gdy Polska może działać na własną rękę, ci, którzy wzięli władzę, rozpoczęli fanatyczną walkę z inicjatywą prywatną. Iż twórczość każda i bez wyjątku jest w treści swojej zdolnością i faktem inicjatywy, iż od kilku stuleci Polska była klasycznym krajem ubóstwa wszelkiej inicjatywy, co być może było główną przyczyną jej upadku politycznego, właśnie dla tego, aby wadę psychiczną narodu jeszcze powiększyć, jeszcze utrwalić, rządcy państwa polskiego rozpoczęli od zwalczania twórczości. Jesteśmy wobec takiego lekceważenia rzeczywistości że trudno było by w nie uwierzyć, gdyby oczy i uszy nie mówiły stanowczo: tak się dzieje.

Nawet talmud Marxa stawia swoim wyznawcom hamulcowe przepisy. Mówi on, aby przed faktem socjalizacji i podporządkowania wszystkiego mechanizmowi państwowemu, kraj posiadał dobrze zorganizowany i sprawnie działający mechanizm przemysłowy. Innemi słowy: uczeni, technicy i finansiści muszą wprzódy dokonać swą inicjatywą osobistą olbrzymiej pracy rozwojowej, zanim kapłani socjalistyczni mogą wziąć się do dzieła. Takiej pracy uczeni, technicy i finansiści w Europie Zachodniej w znacznej mierze dokonali i dla tego w tych krajach udział socjalistów w rządzie i w prawodawstwie jest możliwy i celowy. Ale w Polsce? gdzie niewola u trzech zaborców trzymała w żelaznej obręczy polot inicjatywy i jej psychiczne źródła? Co mają do rozrządzenia socjaliści w kraju chorym na anemję przedsiębiorczości?

Przedwcześnie... przedwcześnie zerwane owoce więdną natychmiast i bez użytku.

Tłumaczyć tę niedowarzoną romantykę rzekomego „dobra ludu„—duchem czasu—napróżno! Można o tym duchu czasu bajać różne rzeczy i co się komu podoba, on się nie odezwie, nie zareklamuje, nie zaprzeczy. To co dzieje się we Francji lub w Niemczech nie dzieje się w Polsce. Tam praca była oddawna inaczej postawiona, inaczej wykonywana i inaczej szanowana. Porównanie jest śmieszne a zrównanie nie jest łatwe i żadnym dekretem nie da się wcielić, zarazek, powodujący w cywilizowanym klimacie Francji ospę wietrzną, u nas może powodować chorobę śmiertelną

wiecznego niewolnictwa. Do czyjej głowy nie trafią argumenty, tego pokona pięść.

I niemal wszyscy ludzie u nas, którzy dostali się do żłobu państwowego, odpierają zarzuty tym „duchem czasu", twierdzeniem, że i na Zachodzie nie lepiej. A następnie: „Polska to państwo młode, jakże się dziwić, że popełnia błędy" To nie są błędy, to zepsucie ducha, zatrucie źródeł energji, to widok zepsutego u progu życia młodego chłopca. Cóż jest smutniejsze nad zmrożoną wiosnę, gdy kwiat drzew zniszczony?

Wystarczy przejechać granicę, udać się chociażby na ów Śląsk, gdzie jeszcze nie wyzwolona część ludu polskiego pracuje poza wpływem druzgoczącym utopji rządu warszawskiego. Jaka sprawność życiowa, jaka praca, jaki tęgi patrjotyzm oparty na granicie rzeczywistości! Jeden z najbardziej złożonych mechanizmów przemysłowych Europy, mimo ducha czasu, mimo fermentów pozostałych z epoki minionej, działa dobrze. Ludzie są mniej rozpasani i mniej nerwowi, za to weselsi i zdrowsi.

Słyszałem sprawozdanie pewnego człowieka—Polaka, który powrócił z okręgów przemysłowych Niemiec, badawszy dłużej stan rzeczy. Niemcy udają nędzarzów, aby zapłacić jaknajmniej odszkodowania wojennego, a ich prasa w jeden zadziwiający ton patrjotyczny fałszuje przed światem stan rzeczy. Tymczasem produkcja wzmaga się szybko, stosy towarów oczekują chwili, gdy głupsze narody, zabawiające się w „mętne ogólniki" i „niedołężne abstrakcje", doprowadzone do ruiny, staną się ich łupem handlowym i politycznym.

Błędny rycerz, atakujący wiatraki, w walce z szeregami in Reihe und Glied. Fakir, rzucający się w paszczę krokodyla. Szkielet w walce z żywem ciałem. Co za szanse!

Nawet nie błędny rycerz... tempi passati. Don-Kiszot z la Manczy umarł jak don Kiszot, wierny swemu tragiczno-śmiesznemu powołaniu. Błędny rycerz Polski, jak ząb pomału próchniejący, zamienia się, przy szybkiem cykaniu zegara, w złoczyńcę...

J. Gr.

Młody Las.

Młody las, aby robił wrażenie piękna, musi być bujny i balsamiczny. Bujność oznacza obfite krążenie soków życiotwórczych, a balsamiczność—dobry ich gatunek. Bywają młode lasy, żółte od rdzy uwiędłe i obumarłe. Bywają i nagie, wykrzywione, pokraczne, ciekawe jako karykatury, ale całkiem pozbawione wdzięku. Takie lasy nigdy nie dorastają: bywają przedwcześnie wycinane.

Zagadka twórczości poetyckiej polskiej, począwszy od doby tak zwanego romantyzmu, jest istotnie zagadką. Robi wrażenie jednocześnie i ogromnej wybujałości i zarazem zwyrodnienia. Widzieliśmy potężną literaturę i w Rosji, a ten naród wije się dzisiaj w konwulsjach śmiertelnych. Sądu nie stać na orzeczenia pewne.

Mam przed sobą dwa tomiki poezji naszego Młodego Lasu: „Płomyk świecy" Kozikowskiego i „Sanctuarium" Szczeblewskiego. Obie książki nietylko nie są pretensjonalną grafomanją, ale wykazują przymioty, dozwalające zaliczyć je do literatury pięknej. Autorowie nie dla tego piszą, aby czuć, ale piszą dla tego, że czują.

Autor „Płomyka świecy" p. Kozikowski jest z upodobań estetą, to jest nęci go piękna forma. Kilka dobrych sonetów jest tego dowodem. W sonecie najbujniejszy polot myśli zmaga się z zwartością formy i twórca musi sam siebie ograniczać według planu matematycznego, a takie zmaganie się jest istotą każdej sztuki pięknej. Z gatunku uczuć autor „Płomyka" jest lirykiem, ale natury męskiej — bez lamentów. Tam, gdzie styka się z przyrodą, jest sam sobą. Gdzie próbuje błysnąć naruszoną urudycją i intelektualizmem, chybia, wydaje tony blaszane. Napróżno, zapatrzony (słusznie zresztą) w przyszłość, stawia krzyż na swoim tomiku. Poco ta niewdzięczność i niesprawiedliwość? Za lat kilkanaście będzie mógł przeczytać niektóre z swoich sonetów młodości z zupełnem zadowoleniem.

Autor „Sanctuarium" p. Szczeblewski, jest

przedewszystkiem bojownikiem idei narodowej, jako szczytowego wyrazu indywidualności własnej. Wsłuchany w tragedję prometejską, przelotem zawadzi o zalotne Muzy. Niekiedy rytm jego uczuć wyławia piękną formę, ale to przypadek. Cwałuje jak koń rasowy, aby naprzód, naprzód! Ma coś z Artura Rimbaud'a, autora „Statku Pijanego”, który pewnego dnia odesłał Muzy do Muzeum, i pojechał administrować maszynami.

Nasz autor najwyraźniej przekłada czyn ponad pragnienie, marzenie i tęsknotę, i jeżeli pisze, czyż to dla tego, że do pełni czynu przeszkadza mu więzienie, gdzie się znalazł.

Jakie to więzienie? Rzewne poezje pisane były w więzieniu, wiemy w jakiem. Ale teraz... czem szumi Młody Las polski, gdy słońce wolności rzuca nań światło i ciepło?

Wsłuchuję się, patrzę, czekam.

Gr.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Teatr Reduta „Fircyk w zalotach”, komedja w 3-ch aktach, Zabłockiego.

Przyjętą wszędzie zasadą w doborze repertuaru teatralnego jest oddawanie naczelnego miejsca dramatycznej literaturze własnej. Utwory obce o tyle tylko cieszą się uwagą kierowników sceny o ile noszą na sobie cechy wybitnej twórczości. U nas, niestety, dzieje się inaczej. Sztuka rodzima zdąża na szarym końcu, na czele tego pochodu kroczy muza obca, mizdrząc się pretensjonalnie spróchniałemi zębami banalnej aktorzycy.

Sceptycy teatralni powiadają, że nasza literatura dramatyczna jest ciężka i źle strawna dla szerszego ogółu, ten zaś szerszy ogół na plotkarskich rautach i *snob-five o'clock tea'ch* impertynencko twierdzi z iście baranią znajomością rzeczy, że ani dramatu ani komedji polskiej nie mamy.

I stąd właśnie pochodzi ten charakterystycznie spekulacyjny objaw; scena istnieje dla wymagań publiczności, ta zaś nie korzysta ze sceny jako źródła prawdziwej kultury.

Z sadystycznym jakimś nasytem wyławia się z europejskiej nocy kabotynizmu scenicznego wszelkie miernoty, kleksy, kicze i nadaje się im złote ramy dla zakrzyczenia mizernej treści i obałamucenia domorosłego snobizmu.

Byleby scena pachniała Europą, tak jak nowa suknia Paryżem a socjalizm bolszewizmem — dążeniom estetycznym bezmyślnej klako-publiczności to wystarcza. Jeżeli nie może się dziś wyjechać na Riwjerę, dobrze jest odżywiać swoją paskarską duszę nawet jej „*ersatzem*”.

Szczęściem, mamy scenę, która nie ogląda się na publiczność, nie liczy się z jej „upodobaniami” a przecież wypełnia się po brzegi. Tajemnica leży w tem, że jej kierownik, dyrektor Lorentowicz, sztuce służy, nie zaś ze sztuki żyje, że widownia Reduty posiada nieliczną ilość miejsc dla publiczności i że „redutowej publiczności” chociaż jest niewiele, ale zawsze dla zapełnienia tej widowni wystarczy.

Mogą też sobie pozwalać na takie eksperymenty wypieszczenia pereł humoru, stylu i idei pp. Osterwa i Limanowski, którzy również przecież sztuce służą i inne mają, jak widać, cele swej pracy niż t. zw. „przedsiębiorstwa teatralne”.

„Fircyk w zalotach” był prawdziwą sjestą duchową dla tych, którzy w godzinie wieczorów teatralnych pragną ukryć się przed natrętnie obłażącem w ciągu dnia plugawstwem *business'u*, politykomanji i kakofonji uliczniczo społecznej.

Porcelanowe figurynki wieku XVIII, beztroskich czasów Ludwika XV oraz barwnych motylów krążących około złotego tronu, pani de Pompadour i hrabiny Dubarry, przeniesione do *teatrum* warszawskich Łazienek z epoki panujących im najmiłościwiej królów *de nomine* polskich nie były zapewne stworzone dla onych czasów minionych, gdyż przebrzmiały bez echa i poszły, zawdzięczając ostro zatemporowanym gęsim piórom krytyki w zapomnienie. Nie wiedział jednak Zabłocki, że poświęcając czas swoich negocjacji na dworze króla w obcowaniu z lekką muzą, zanim pomyślał o pokucie i klasztorze, tworzył dla nas, dla XX wieku maszyn i wojny, dla ludzi przyszłości, którzy przyjdą po nas, a którzy zapewne będą na chwilę tej rozrywki schodzić się w gajach Akademosa lub gdzieś w sferze rozrze-

dzonego powietrza i niknących dźwięków zgiełkliwej masy ludzkiej, aby pieścić wzrok swój wykwintem kształtu i ruchu tych, którzy już nie wrócą.

Szkoda też, że pan Marjusz Maszyński (żałuję wraz z nim bardzo tego) nie doczeka onej szczęśliwej chwili kiedy w tych nowych a nieznanych mu zapewne dotąd z doświadczenia warunkach ciśnień atmosferycznych nie usłyszałby już głosu owej męskiej perliczki, do jakiej, wbrew swojemu talentowi, upodobnił się w roli Arysta. Szkoda, że p. Osterwa ze zdumieniem nie przekona się iż właściwie podłoga nie jest mu potrzebna do roli Fircyka, kiedy już tak opanował atmosferę, że w ciągu trzech aktów może w niej pływać miękko i dowolnie niby strojny łabędź po stawie łazienkowskim. Szkoda, że p. Dulembianka czy Dulemba (doprawdy nie wiem jak dziś powiedzieć) nie spotka się w tejże atmosferze z siostrą swą przyrodnią — obłoczkiem, który zarówno ślicznie potrafi chmurzyć się łezką - deszczykiem jak i śmiać się błyskiem majowego słońca - uwodziciela. Szkoda, powiadam, że to nie stanie się dziś - jutro. Ale najbardziej mogą żałować tego ci, którzy „jutra" nowego wraz z nami nie zobaczą, a obok których owe „dziś" dla ich opieszałości lub nawet przysłowiowego w Warszawie braku czasu przeleci niepostrzeżone.

Nie zajrza oni do dworku Arysta z XVIII wieku, gdzie olśniewają bielą swoją klasyczne kolumny (choć trochę w dekoracji zakrótkie), nie wejdą, skradając się na palcach do strumykami Trembeckich szumiącego gaju, kędy śród plam i półcieniów słonecznych cicho szepcą sobie wzajem ulotne i niczem nie obowiązujące słowa efektów, stworzone do kochania pary, nie zobaczą koronkowej podstolinej i jej wielbiciela-pędziwiatra, który z tą samą lekkością gra w karty, kocha, oświadcza się — żyje gdzieś w przestrzeni bez oparcia się o mijającą go rzeczywistość.

Ale wróćmy z tej topieli słońca i marzeń do życia. Mistrzowski duet Osterwy i Dulembianki, kończy się a na przekorę naszym sceptykom teatralnym powiedzmy, że w zapomnianych lamusach swoich na szkodę współczesności przechowują bezużytecznie ten piękny anachronizm, że ukazywać go winna nie tylko widzom „dojrzałym dla sceny", ale i młodzieży każda scena polska, bo jest on jednym z tych dziwnych kwiatów w bukiecie komedjopisarstwa polskiego, który mu daje odżywczy a subtelny zapach gaju zwilżonego jeszcze rosą a już skąpanego w promieniach wiosennego słońca.

Nie bajka to czyni, bo nie różni się od najbanalniejszych, nie sceniczność lub konflikty, bo, doprawdy. trudno wobec przeważającego eposu o tem mówić, ale coś, co jest tu nieuchwytne jak motyl a trwałe i mocne jak styl—wiersz i koloryt.

Prawda, że trzeba umieć „Fircyka" grać, ale czyż Polskę dziś nie stać na dobre szkoły aplikacyjne, które zapełniłyby sceny nasze utalentowanymi adeptami sztuki scenicznej?

Wszak, niestety, na innych polach mamy w sobie tyle aktorstwa.

Mieczysław Jarosławski.

Z Zachęty.

Komitet Tow. Zachęty Szt. Piękn. komunikuje, że wobec nawału materjału wystawowego nie może uwzględnić wielu podań artystów, a szczególnie o wystawy zbiorowe. Nadto z tych samych powodów postanowił skrócić terminy trwania wystaw do 3 tygodni.

Obecnie urządzone zostają następujące wystawy:

Od 25 listopada do 6 grudnia wystawa współczesnej grafiki polskiej, która następnie, jako okrężna, zostanie wysłana do Londynu, Bruxelli, Amsterdamu, Kopenhagi i Stockholmu. Od 6 do 28 grudnia wystawy zbiorowe: R. Kramsztyka, B. Kopczyńskiego, M. Trzebińskiego oraz wystawa bieżąca. Od 2 do 31 stycznia: „Wystawa Litwy i Rusi", urządzona staraniem Wydziału Zabytków przy Straży Kresowej oraz w jednej sali bieżąca. Od 1 do 28 lutego zbiorowe wystawy: Jana Wałacha, Stan. Czajkowskiego, Trzcińskiej-Kamińskiej, J. Biernackiego oraz bieżąca. Od 1 marca do 15 kwietnia „Salon Doroczny". Od 15 kwietnia do 8 maja: wystawa grupy formistów, pośmiertna wystawa St. Lentza oraz bieżąca. Od 10 maja do 1 czerwca wystawa artystów poległych na wojnie oraz zbiorowe Wigi Gaszczyńskiej, Sichulskiego i bieżąca.

Akrostych

poświęcony „MILJONÓWCE."

Moi panowie, zrozumcie przecie,
Iż nie opłaca się dusić grosza,—
Ledwo te marne grosze zbierzecie,
Już byle grzeszek wam wypatrosza
Oszczędność, skrytą w chudej kalecie.

Nie! Wolej tydzień bujać po świecie,
Ósmego dzionka zaś igrać z losem,
Wolej z fantazją, przy pustej kiesie
Kołysać duszę marzeń odgłosem
Aż raz w sobotę.....
Lecz to już wiecie.

Bibljografja

Książki nadesłane do Redakcji.

Jan Namitkiewicz. Kodeks handlowy obowiązujący w Królestwie Polskiem. Wyd. M. Arcta w Warszawie. 1920 r. Str. 320 4-a.

Artur Górski. O wieszczeniu w sztuce. Nakł. M. Arcta w Warszawie 1920 r. Str. 24, 4-a.

Z. Szczawiński i S. Kamiński. Geometrja oraz zbiór zadań w zakresie szkoły średniej. Wyd. M. Arcta w Warszawie 1920 r. Str. 384, 4-ka, 432 rysunki w tekście.

Marjusz Zaruski. Współczesna żegluga morska oraz słownik żeglarski. Wyd. M. Arcta w Warszawie, 1920 r. Str. 160 + 24, 4-a

Józef Petrycki. Roman Dmowski: Wyd. Perzyński, Niklewicz i Sp. Warszawa 1920. Str. 82, 4-a.

Czesław Robicki. Bolszewizm wobec kultury i cywilizacji i ludzkość wobec bolszewizmu. Warszawa 1920 r. Str. 16, 4-a.

Józef Wittlin. Nakładem Zdroju Poznań 1920 r. Str. 100, 4-a.

Apolinary Krupiński. Pieśń o Józefie Piłsudskim. Antologja. Zamość. Zygmunt Pomarański i Spółka. 1920 r. Str. 220, 4-a.

Wacława Grodzicka-Czechowska. Poezje tom II. „W stepach“ tom III. „Ku Ojczyźnie“. Nakł. kasy pożyczkowo-oszczędnościowej polskich pracowników księgarskich. Warszawa 1920 r. Str. 94 i 114, 8-a.

Aleksander Bogusławski. Jak się rządzą narody. Nakład Straży Kresowej. Warszawa 1920 r. Str. 52, 8-a

Stanisław Łoza. Drogi żelazne Ziem Wschodnich Rzeczpospolitej w dobie przedwojennej. Odbitka ze Wschodu Polskiego. Warszawa 1920 r. Str. 20, 4-a.

Ministerstwo Spraw Wojskowych. Departament Naukowo-Szkolny. Uniwersytet Żołnierski. Pamiętnik zjazdu Referentów Oświatowych odbytego w Warszawie w dniach 27, 28 i 29 czerwca 1919 r. Str. 76, 8-a.

Z. Łowicz. Polacy w piekle bolszewickiem. Warszawa 1920 r. Str. 80, 8-a.

Henryk Galle. Zasady pisowni polskiej ze słowniczkiem według uchwał Akademji Umiejętności z dn. 8 stycznia 1918 roku. Wyd. M. Arcta w Warszawie 1920 r. Str. 164, 8-a.

Edward Kozikowski. Płomyk świecy. Wydawnictwo „Gospody poetów“ Warszawa 1921. Str. 56, 8-a.

Dr. Marceli Nałęcz-Dobrowolski. Służalstwo i knowania. Warszawa Grudzień 1919 r. Wydane jako rękopis. Str. 20, 4-a.

Nowości wydawnicze

Księgarni M. Arcta w Warszawie.

Grabowski J. Rachunki dla rzemieślników. Podręcznik dla szkół zawod. i samouków. Cz. I. Autor, insp. szkół zawod. i znany pedagog, opracował tę książkę według programu Minist. W. R. i O P. specjalnie dla szkół zawod. Treść i układ metodyczny czynią podręcznik oryginalnym i łatwym dla początkujących w nauce rachunków.

Krasnowolski A. Najpospolitsze błędy językowe, zdarzające się w mowie i piśmie polskiem. Błędy zebrane przez autora w tej książce, zebrane zostały z książek i gazet, czyli tam gdzie roszczą sobie pretensję do znajomości języka. Z tego względu książka ta wszystkim czytającym może oddać wielkie usługi.

Nałkowska A. Geografja Polski, z 64 rysunk. wyd. VIII. Znany i powszechnie zastosowany w szkolnictwie naszem podręcznik geografji Polski A. Nałkowskiej w naszem wydaniu został zmieniony i uzupełniony stosownie do nowych granic i nowych warunków politycznych, w jakich się dzisiaj Polska znajduje.

Nowakowska M. Geografja historyczna Polski, z 88 ryc. Pierwszy to podręcznik geografji histor. Polski i pierwsza wogóle tego rodzaju praca od czasów książki Z. Glogera, wydanej przed kilkudziesięciu laty. Aautorka w sposób zwięzły a barwny opisuje Polskę w dawnych granicach, malując całkowity obraz tych ziem na tle wypadków historycznych. Dla szkolnictwa naszego książka ta bardzo w porę przebywa.

Thomas St. Zbiór zadań arytmetycznych, cz. wstępna, kurs klasy podwstępnej, wyd. XII. Cz. I, kurs klasy wstępn wyd. XII.

Treść zeszytu XXI-go.

Warunki prenumeraty:

W stolicy i w kraju: Kwartalnie **Mk. 110.—** Za granicą i w Ameryce: Kwartalnie **Mk. 150.—**
Za przesyłkę pocztową dolicza się kwartalnie: w kraju **Mk. 15.—**, za granicą i w Ameryce **Mk. 25.—**.

POLSKIE STOWARZYSZENIE WYDAWNICZE „PLACÓWKA“

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Nowy-Świat Nr. 40.

TELEFON 319-87 lub 9-87 (wojenny).

Redaktor Naczelny wydawnictw P. S. W. „Placówka“: **Walenty Zieliński.**

Komitet redakcyjny: **Ignacy Grabowski, Tadeusz Karaziński, Gustaw Olechowski, Stanisław Pieńkowski.**

Odbito czcionkami „Drukarni Rotacyjnej“, Marszałkowska 148.